

Pogawędka niedzielna

Wiosenny temat

Rok rocznie o tej mniej więcej porze odbywa się w całej Polsce ponura uroczystość zwana egzaminem maturalnym. Aktorami tego widowiska są w każdej poszczególnej szkole: 1) przewodniczący Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, 2) członkowie tejże komisji, czyli belfry od przedmiotów maturalnych, oraz 3) właściwi delikwenci, czyli młodzież pięci obojga. Za teren czynów służy wielka sala szkolna.

Na środku wielkiej zielonej olbrzymi stół, nakryty sukniem; tu i ówdzie zwisają mapy historyczne niby sztandary, pod ścianami piętrzą się różne przyrządy fizyczne, a z boku czernią obojętne gładkie tablice.

Przy stole tkwią w krzesłach po osiem godzin dziennie przeraźliwie znudzeni ludzie, a co pewien czas staje przed nimi wyblady, trzęsący się ze strachu młodzieniec lub dziewczyna. W przeraźliwej, gęstej, czarnej nudo wkręcają się pytania, później pękają w niej słowa odpowiedzi i egzamin ciągnie się bez końca.

Nie jestem przeciewnikiem końcowych egzaminów. Ostatecznie po ośmiu latach dokładnego często próżniactwa musi uczeń zdać sprawę ze swych umiejętności. Trudno i darmo! Lecz sposób przeprowadzenia egzaminów dojrzał w zupełności do najgłębszej reformy. Świadczy o tem powtarzające się rok rocznie zamachy samobójcze wśród młodzieży, świadczą choćby ostatnie zajęcia w Łodzi, o czym czytaliśmy kilka dni temu.

Najbardziej irytująca cecha naszej biurokracji jest niedowierzanie. Odwrótnie niż w Anglii, gdzie wierzy się słowom obywatela, u nas traktuje się jego wypowiedzi jako notoryczne kłamstwo, które należy po dziesięć-kroć sprawdzić. Opowiadał mi kiedyś znajomy historyk swojego ślubu, który odbył się w Anglii. Ani on, ani jego narzeczona nie mieli niemal żadnych papierów, natomiast znali kilku obywateli angielskich. Jeden z nich oświadczył gotowość stawiania jako świadek podczas ślubu. Podpisem swym stwierdził, że zeznania narzeczonych co do ich personalijów są prawdziwe. To wystarczyło i ślub się odbył.

Spróbujcie u nas nie mieć papierów. Horrendum!! Ba, spróbujcie poprosić o swe własne papiery, złożone np. w uniwersytecie. Przeżyjecie prawdziwy dramat.

Na początku swej belferskiej kariery (ładna „karjera” — niech ją dunder!) przeżyłem następującą przygodę... Gimnazjum, gdzie miałem uczyć, zażądało, abym oprócz indeksu przedstawił maturę i jakieś tam jeszcze papiery, które złożyłem w uniwersytecie.

Cóż było robić? Ustawiłem się w ogonku do ośmiu, przypuściłem numer 4 i czekałem. Ogonek był wprawdzie cienki, ale przedziwnie długi i

tak skręcony, jak na rysunku kiplingowskiego kota, który chadza własnymi drogami, sam nie wiedząc gdzie? Okienko zaś miało tę własność, że co pewien czas hermetycznie się zamykało. Był to nieomylny znak, że pan sekretarz pije herbatę. Czynność ta powtarzała się w równomiernych odstępach czasu i trwała ogromnie długo. Obliczyłem, że w czasie oczekiwania, sekretarz chlapiął przynajmniej osiemnaście herbat i od razu pozwoliłem sobie na to wątpli. Szczepiły ten człowiek musiałby przy takiej konsumpcji rozdać się do wymiarów balonika i pęknąć na kilka kawałków. Kiedy już znalazłem się oko w oko z dostojną figurą sekretarza, zrozumiałem, co znaczy tam „herbata”. W głębi pokoju nad maszyną do pisania dostrzegłem ciemną główkę maszynistki. Po klawiszach ślizgały się jej piękne, białe, długie ręce.

— Aha! — zrozumiałem. Miałem rację! W sześć tygodni potem ta para związała się węzłem małżeńskim... Boże im błogosław!

Pan sekretarz — jak każdy sekretarz — patrzył na mnie zgrozy i zacząłem możliwie pokornym głosem:

— Prosiłbym bardzo o wydanie na kilka dni moich papierów i matury.

— Co? — przerwał sekretarz i spojrział z taką grozą, jakbym wnosił conajmniej o pozwolenie zamordowania ojca, matki, trojga rodzeństwa i sparaliżowanej babci...

— Co? — ciągnął. — Papierów pan chce?

— Przepraszam bardzo, ale muszę je przedstawić w gimnazjum... Nie mogę nie obchodzić, co pan „musi”. Papierów się nie wydaje! Bóg wie, co by pan z nimi mógł robić.

— Przecież nie ukradnę swojej własnej matury!...

Pan sekretarz nie słuchał dalej. Po długich, trwających kilka dni korowodach, skończyło się wreszcie na tem, że musiałem zrobić odpisy pod surowym wzrokiem pana sekretarza i mniej surowymi spojrzeniami czarnych ślepek jego uroczej maszynistki.

Do rąk własnych matury mi nie wydano, zapewne w tem biurowym mniemaniu, że mógłbym ją — lotr jeden — spalić na węgiel, rozpuścić w wodzie i wypić dla smaku.

Przy odbieraniu dyplomu uniwersyteckiego przekonałem się, że jedna władza państwowa nie wierzy drugiej. Ale to długa historia i nie o tem chciałem pisać... Wracajmy do tematu.

Otóż w kraju, gdzie posądzają się obywatela o to, że skradnie własne papiery i czmychnie, gdzie pieprz rośnie — egzaminy maturalne odbywają się w atmosferze najdalej posuniętej nieufności.

Przedewszystkiem do wielu szkół, które nie budzą zaufania, wysyła się t. zw. delegatów, czyli przewodniczących Komisji. Często delegat patrzy na szkołę, jak na jakiś spisak, jakąś lożę ma-

sońską, w której Wielkim Wtajemniczonym jest dyrektor, Mistrzami nauczyciele, a Czeladnikami — młodzież. Cała ta mafia popiera się wzajemnie i myśli tylko o tem, jakby oszukać delegata.

Kiedy delegat zjawi się w szkole i rozsądzi delikwentów przy oddzielnych stolikach, zaczyna się egzamin piśmienny. Władze — tak nieufne względem nauczycielstwa — wierzą z rozbijającą naiwnością w brak sprytu młodzieży i stale przysyłają tematy, dobrane do rocznic, przypadających w danym okresie. W roku 1933 zapewniali mnie ośmioklasiści, że z historii będzie temat o Sobieskim i Batorym.

— Dlaczego? — spytałem.

— Przecież to 250-o lecie oświecenia wiedeńskiego i 300-o lecie urodzin króla Stefana.

W dzień egzaminu rozerwałem kopertę i pierwszy temat, jaki mi się rzucił w oczy, brzmiał: „Batory a Sobieski — dwa działacze na tle dwóch epok historycznych?” Z języków nowożytnych przepowiednie uczniów sprawdzają się w 90-u wypadkach na sto.

Przewidywania te pociągają za sobą odpowiednie skutki. Niejednemu młodocianemu wróż, nie licząc na swą pamięć, zaopatruje się na egzamin w „ściągaczkę”. Jest publiczną tajemnicą, że w Warszawie prosperuje całkiem niezłe biuro, gdzie można nabyć za tanie pieniądze potrzebne tematy. Kiedyś złapano taki temat, pisański drobniutko i jakoś przedziwnie nawinięty na dwie zapalki. Gdy się odpowiednio manipulowało dłońmi, karteczka związała się z jednej zapalniczki na drugą, odsłaniając coraz dalsze wiersze manuskryptu. Złapano „ściągaczkę” nosiła dumnie kolejny numer 46!

Tyle więc przynajmniej mechanizmów zapalczkowych ukrywał sprytny uczeń w przepaściach swych kieszeni.

Tematy poddyktowane, głowy uczniów pochylają się nad stolikami, zaś oczy Komisji biegają po sali „jako chytre szpiegi”. Tu się ktoś ruszył, tam odwrócił, więc zwraca się uwagę, monituje. Czasem dochodzi do rewizji osobistej!

Powie ktoś, że nie można się dziwić praktycznym egzaminatorom, wobec dopiero co podanych faktów. Odpowiem na to dłuższym wywodem... Przedewszystkiem niedopuszczalne jest ze względów wychowawczych tak organizować egzaminy i taką wytworzyć atmosferę, aby młodzież mogła, czy też czuła się wprawdzie do oszukiwania. Działło to niesłychanie demoralizujące. Przecież nie ośmioklasiści ponoszą winę za złą organizację i nie oni przeprowadzają reformę. Nie poprawia się złego rewizjami, podpatrywaniem, nieufnością. Przeciwnie! Takim postępowaniem najwyższej sprawozdają się uczciwą część młodzieży na drogi oszustwa. Trzeba zreorganizować sam system egzaminów. Zreorga-

nizować natychmiast, tem więcej, że mamy gotowe wzory chociażby we Francji.

Tam, po skończeniu liceum, poddaje się młodzież egzaminowi, lecz przed obcami komisjami. Każdy zdający wyciąga kopertę z odpowiednim numerem, gdzie umieszczony jest temat pierwszego egzaminu piśmiennego. Od tej chwili uczeń staje się tylko numerem. Nie podpisuje nawet swych prac, co daje gwarancję zupełnej bezstronności w ocenianiu. Tematy są możliwe różnorodne i dla każdego inne, więc nie może być mowy o podawaniu sobie karteluszek.

System francuski posiada przytem jeszcze inne zalety. bo poddaje kontroli nie tylko uczniów, lecz szkoły i nauczycieli. W kraju biedy z nędzą wydajemy moc pieniędzy na wizytatorów, instruktorów i całą związaną z tem biurokracją. W systemie francuskim unika się tych wydatków.

W jaki sposób?

Bardzo prosto. Skoro ze szkoły A na 25-u dopuszczonych zdało 23 — to wniosek brzmi: „szkoła dobra”. Skoro w szkole B na 25 dopuszczonych zdało 2 — to wniosek: „szkoła zamknięta”. Te same wnioski z tych samych przesłanek można wyprowadzić co do poszczególnych nauczycieli.

Oto dwa kraje i dwie organizacje!

Jeśli nie chcemy naśladować zagranicy, obmyślimy jakiś swój własny system, lecz z dotychczasowym zerwiemy stanowczo!

Jan Waśniewski.

Słynne archiwum Senyka jako dowód w procesie lwowskim OUN

LWÓW, 6. 6. W procesie lwowskim rozpoczęło się dziś postępowanie dowodowe. Prokurator Prachel-Morawiański wniósł o dopuszczenie dowodu z dokumentów archiwum Senyka, które mają stwierdzić, że osk. dr. Hnatewicz był swego czasu „krajowym prowidykiem” O. U. N.

Archiwum dostało się do Polski z Czechosłowacji, gdzie policja praska je wykryła.

Obrońca Zaryskiej adw. Paweński wniósł o zarekwirowanie aktu procesu warszawskiego o zabójstwo min. Pierackiego dla stwierdzenia, że przedmiotem tego procesu były także czyny i fakty, stanowiące przedmiot procesu lwowskiego. Prokurator sprzeciwia się temu wnioskowi, ponieważ fakty te były w Warszawie omawiane tylko dla ilustracji działalności oskarżonych w O. U. N.

Obrońca wniósł o dopuszczenie dowodów szeregu świadków i dokumentów, m. in. z aktu łuckiego procesu przeciwko Kucowi o planowane zamachy na wojewodę Józewskiego i na przesłuchanie Kucia, odsiadującego obecnie więzienie.

Adwokaci bydgoscy Żądają odzydzenia palestry

Koło Adwokatów w Bydgoszczy mając na uwadze, że element żydowski, jak to potwierdzają w całej pełni ostatnie liczne aresztowania żydów za działalność komunistyczną, jest czynnikiem rozkładowym w polskim życiu społecznym i państwowym, na swoim walnym zebraniu uchwalilo:

1. Zabronić adwokatom Polakom przyjmowania na aplikację adwokacką kandydatów żydów, jak również dalszego przetrzymywania na aplikacji adwokackiej kandydatów żydów.

2. Zabronić adwokatom Polakom powierzania adwokatowi żydowi swego zastępstwa (substytucji).

3. Zabronić adwokatowi Pola-

kom utrzymywania stosunków towarzyskich z adwokatami żydami, jak również z adwokatami Polakami, niestosującymi się do niniejszej uchwały. Pod pojęciem „żyda” rozumie się także i wychrztał.

4. Dążyć do zapewnienia Polakom wyłącznej decydującego stanowiska w adwokaturze polskiej.

5. Dążyć za pośrednictwem władz korporacyjnych do natychmiastowego zatamowania dopływu żydów do adwokatury.

6. Wezwać społeczeństwo polskie do solidarnego współdziałania z adwokatami polskimi w jej wysiłkach utrzymania adwokatury polskiej na wysokim poziomie etycznym

Nowa tajna organizacja hitlerowska wykryta w Polsce

KATOWICE, 6. 6. Toczy się obecnie proces przeciwko tajnej organizacji narodowo-socjalistycznej, przyczem oskarżeni pozostają pod zarzutem dążenia do odczerwania od Polski Śląska. Jeszcze proces ten jest w toku, a już władze bezpieczeństwa wpadły na trop nowej szeroko rozgałęzionej organizacji niemieckiej na Śląsku. Do Katowic przytransportowano ostatnio sześciu Niemców, aresztowanych w powiecie tarnogórskim, a będących prawdopo-

dobnie czynnymi członkami organizacji. Organizacja miała cele zbliżone do N. S. D. A. B., które, proces toczy się obecnie, lecz była od niej zupełnie niezależna. Członkowie jej gromadzili się w lasach, odbywali wspólne ćwiczenia w terenie, byli instruowani przez przybywających najczęściej spoza Polski kierowników. Obecnie prowadzone jest dochodzenie celem stwierdzenia rozmiarów i zakresu działania organizacji

P. premier Sławoj-Składkowski przyspiesza budowę drogi Pułtusk — Obryte

Pan premier Sławoj-Składkowski przybył do Pułtuska, gdzie

zawdził biura starostwa oraz odbył konferencję z miejscowym starostą, interesując się w szczególności zagadnieniem bezrobocia i robotami prowadzonymi na terenie powiatu.

Następnie pan premier w zarządzie gminnym odbył konferencję z wójtem gminy Obryte. Zwie dając odcinek, rozpoczętej drogi powiatowej Pułtusk—Obryte, pan premier polecił zwiększyć tempo pracy i w zależności od tego zapewnić ze swej strony pomoc pieniężną.

Na ekranach

„ROBERTA”

W KINIE „MAJESTIC” Irena Dunne, głoszna bohaterka „Bocznego ulicy” nie ma szczęścia do amerykańskich wytwórni. Wprawdzie w „Robertie” w swej niewielkiej roli jest pełna wdzięku i uroku, ale właściwie stanowi tylko urozmaicenie filmu o typie rewii tanecznej, sprarowanego według recepty: wszystk co dla wszystkich. Jest więc i popis pary popularnych tancerzy z „Top Hat” — Ginger Rogers i Fred Astaire — jest dobra muzyka lekka, rytmiczne tony — to jest kilka piosenek, efektowna wystawa, wreszcie jedna z najlepszych aktorek — Irena Dunne. Mieszery byli zreczni i przyrzekli z tego smaczna mieszankę, doskonałą na letnie upały. Film może liczyć na powodzenie zwłaszcza wśród pań, które znajdują w „Robertie” efektowną rewję mody.

Z. B.

„KSIEZNICZKA CZARDASZA”

W KINIE „HOLLYWOOD”

Popularna operetka trafiła na ekran, jako komedia muzyczna. Jest to obraz produkcji niemieckiej „Ufy”,

podrabiającej niezbyt zreczni wdzięk i lekkość wiedeńskich filmów. Skoro jednak filmy „Ufy”, po rocznym odejściu się w warszawskich biurach kinematograficznych ukazały się na ekranach, może będzie to zapowiedzią, że w ślad za „Księżniczką czardasza” zobaczymy i „Złoto” i „Ucieczkę” — filmy istotnie charakterystyczne dla nowego filmu niemieckiego.

„Księżniczka czardasza” ma typową intrzygę operetki. Arystokrata w starszym wieku jest mecenasem sztuki, co znaczy, że popiera młode „gwiazdki” teatru — „gwiazdki” jednak wolą rówieśników, odbierają względami dziarskiego porucznika i w końcu u jednej i tej samej filmowej spotyka się ojciec i syn. Tradycje operetki wyraża jeszcze pani baronowa, młodejka na wieść o mecenasowskich projektach syna.

Film jest dość zabawny, dość poprawny pod względem technicznym — rażą tylko niefortunne dekoracje, już zbyt jawne tekturowe.

Główną rolę gra Marta Eggerth. Z. B.

Z plastyki

Wystawa u bibliofilów

Dochodzę do wniosku, że wiele naszych wystaw nie osiąga zamierzonego celu, nie dlatego, iżby zawierały matowartościowe eksponaty, lecz z racji niewłaściwej formy podania treści wystawy. Niedostatek jest estetycznym rozmieszczeniem i rozwieszeniem, co się ma do pokazania; trzeba mieć plan i zdawać sobie jasno sprawę, czego się chce ludzi zapomocą odpowiedniego urządzania wystawy nauczyć. Racjonalnie zorganizowane i urządzone, zwłaszcza niekiedy wystawy, mogą spełnić bardzo pożyteczną rolę wychowawczą w wielu zaniedbanych dziedzinach kultury.

Po przykładzie nie trzeba sięgać daleko: wyjaśnię o co mi chodzi, posługując się w tym celu wystawą pięknej książki polskiej, urządzonej przez bibliofilów warszawskich, spowodu IV zjazdu bibliotekarzy polskich w Warszawie. Wyobraźmy sobie, iż na tę wystawę zachodzi jegośność, który nie ma zielonego pojęcia o książce pięknej, ale objawił nader chwa-

lebne zainteresowanie się pokazanymi eksponatami i radby się czegoś z tej dziedziny dowiedzieć. Trzon wystawy stanowią dwa działy: oprawy zabytkowej i nowoczesnej, przykłady rękodzieła introligatorskiego. Sądząc z rozwoju i postępu rozmaitych technik, ów jegośność mógłby mniemać (i nie dziwny się temu), że obecna oprawa książki jest daleko lepsza, doskonalsza od dawnej. Zwidziwszy całą wystawę i wyszedłszy, pozostając nadal przy swym mniemaniu, bo pokaz oprawy jest tak urządzone, iż niczem do obalenia tego błędnego sądu się nie przyczynia. Oto pierwszy przykład.

Mogłoby wprawdzie bibliofile powiedzieć, że wystawa jest dla miłośników książek i znawców, a tym podobnych wiadomości udzielać już nie trzeba. Owszem, prośbę bardzo, pozostać w rodzinie wtajemniczonych... ale tak czyniąc, panowie bibliofile, rozminiecie się z jednym ze swych naczelnych zadań: zzerzeniem miłośnic-

twa do książki pięknej wśród społeczeństwa i wychowaniem pokoleń, któreby takiej książki potrzebowały.

By zrozumieć, jak należało ten dział pięknej oprawy urządzić, trzeba sobie uświadomić oczywiście, jakie bolączki mógłby on (i powinien) uleczyć. Rozpowszechnione jest bardzo mniemanie, iż piękna, dobra oprawa to jest oprawa w skórę, na której widnieją mnóstwo tłoczonych ozdób i złocień. Nikt, poza gronem znawców i prawdziwych miłośników, nie chce sobie tego uświadomić, że ozdoby na okładkach to koniec pracy introligatora, jej uwieńczenie nie niejako. Prawdziwie dobra oprawa polega na uczciwym i prawidłowym zszyciu oddzielnych arkuszy broszury i właściwym zasadzeniu jej w okładzinę, obłożone skórą lub odpowiednim po temu płótnem, czy też mocnym, czerpanym, ręcznie barwionym papierem. Dobra oprawa konserwuje książkę, zła — niszczy ją. Im książka jest cenniejsza, tem bardziej działanie złej oprawy jest niszczyielskie.

Oczywiście, najdroższym i najszlachetniejszym materiałem na oprawę jest odpowiednio wypra-

wiona skóra, ale nie należy sądzić, że droższymi użytymi materiałami stanowi przedewszystkiem o dobroci oprawy. Nie decyduje o tem także bogactwo ozdób. Z tem rozpowszechnionem, błędnem i wysoce szkodliwym dla samej książki, oraz kultury introligatorskiego rzemiosła mniemaniem należy walczyć. Wiele mogli tu pomóc bibliofile, pokazaniem co dobre, a co złe, na wystawie, ale tego nie zrobili. Powiecie mi, że robi się także przysługę propagandzie pięknej książki, pokazując jej dobry wzór, ale ja wam powiem, że czyni się niedźwiedzią przysługę, demonstrując złą oprawę, jako przykład dobrej i pięknej.

Trudno oczywiście wiele wymagać od taniej, za parę złotych, oprawy, książki z czytelną, ale można i trzeba żądać uczciwego rękodzieła od introligatora, gdy mu się płaci za robotę kilkadziesiąt złotych. Tymczasem wielu naszych panów introligatorów, jeśli chodzi o forszę, to owszem, dla czego nie? proszę bardzo, a więc plaś!... ale jeśli chodzi o oprawę, to zdechł pies. Oprawiają najbardziej tandetnie, jak tylko sobie można wyobrazić, ale ponieważ używają do tego skóry, oraz

rozmaitych złożonych fidrygów, uchodzą za introligatorów-artystów. Jeden z takich panów corok uczestniczy w Salonach Zachęty i dostaje nawet nagrody. Ale czy któremu z sędziów z jury przyszło na myśl otworzyć książkę i zobaczyć, jak też naprawdę jest oprawiona? A może pod temi okładkami wcale książek nie ma? W każdym razie rząd nie nagradza rzeczy, których się właściwie nie widziało.

Ten sam introligator, którego dzieła mogłoby wystawić bibliofil, tylko w tym wypadku, gdyby chcieli na ich przykładzie pokazać, jak nie należy książkę oprawiać, uczestniczy w pokazie, jak gdyby nigdy nic, mając swą gablotę w najbliższym sąsiedztwie arcymistrza oprawy — Lenarta. Ponieważ prace tego „oprawcy” są bogaciej od lenartowskich złożone, może niejednemu nawet z nieświadomych rzeczy pomyśli, że Lenart do pięć mu nie dorósł. Oto do czego doprowadza bezkrytyczne i automatyczne pakowanie eksponatów do szaf i gablot.

Należało pokazać na przykładach wykonanie oprawy, w jej rozmaitych stadjach; wytłumaczyć, również przykładami, czem

się różni dobra oprawa od złej. Należało ograniczyć ilość książek w dziale oprawy współczesnej, poprzestając tylko na wzorach rzetelnego rzemiosła. Należało także bardziej zaakcentować dodatnią rolę działów introligatorskich naszych szkół rękodzielniczych, które uczą skromnej, bezpretensjonalnej, ale uczciwie wykonanej oprawy i taką też propagują, używając półskórki, półpergaminy, lub płótna. Należało wreszcie umieścić napisy przy oprawach zabytkowych, określające ich wiek, gdy nie każdy sam to rozpoznaje i nie każdy kupi katalog za 2 zł. Nie wadziłoby również wyjaśnić, na czem polegają różnice między poszczególnymi rodzajami opraw zabytkowych i czem one się różnią, poza sposobem zdobienia i stylem samych zdobin, od współczesnych? Tak urządzona wystawa, spełniłaby swoje zadanie.

Wystawę uzupełnia dział, p. t. „Sto książek o Warszawie”, zorganizowany pośpiesznie i niedbale, oraz dział wydawnictw, rozmaitych towarzyszt bibliofilskich, wśród których starannością tłoczenia wyróżniają się druk krakowskie.

Wiktor Podolski